

TRYBUNA

00-835 WARSZAWA

ul. Miedziana 11

Nr 1 2-01-98 z dn.

TRZECI DZWONEK

Do ilu razy sztuka?

O profesjonalizmie teatru świadczy nie tyle ta lub owa udatna premiera. Nawet nietęgi zespół może zdobyć się na jednorazowy wysiłek i zagrać od święta powyżej swoich możliwości. Prawdziwym testem dla trupy jest późniejszy los przedstawienia, już nie nawiedzanego przez recenzentów, granego dla niepremiero-wej publiczności. Wtedy dopiero widać jak na dłoni, w jakiej formie jest teatr. Sztuka ta bowiem, o paradoksie, polega na niepowtarzalnej powtarzalności.

Niepowtarzalnej, bo nigdy spektakl nie jest dokładnie taki sam, jak poprzedni i jak następny: biorą w nim udział żywi ludzie, nie do końca można skalkulować reakcje publiczności, zdarzają się zwykłe pomyłki, zagapienia, a nawet jeśli uszyszko idzie niby po masle, nagle sztuka przymusza inny

kierunek, odkształca się, zmienia. Powtarzalnej jednak, bo bez utrzymania dyscypliny rytmów, nastrojów, połączeń wewnętrznych przedstawieniu grozi destrukcja. Dlatego teatr wynalazł próby wznowieniowe i kiedy po dłuższej przerwie przychodzi grać jakąś sztukę, reżyser z obawy przed wypadkami przeprowadza repetycję.

Kiedy z górą rok temu dowiedziałem się, że kończy swój żywot sceniczny na afiszu Ateneum „Antygona w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego, pognałem do teatru. Okazało się potem, że nie byłem najlepiej poinformowany i sztuka jest grywana po dziś dzień. Wtedy jednak przekonany, że pewno nieprędko ktoś ją w Warszawie wystawi, bądź co bądź była już wówczas w repertuarze piąty sezon, zapragnąłem zobaczyć, w jakiej formie prze-trwała ponad 100 z okładem spektakli.

Biletów w kasie nie było, wszedłem dzięki protekcji od kulis. Henryk Talar, wówczas jeszcze dyrektor w Częstochowie, już był przygotowany do wejścia, Piotr Fronczewski, najwyraźniej duchem nieobecny, sposobił się w skupieniu do przedstawienia. Każdy ma swoje metody, Fronczewski potrzebuje czasu, żeby wniknąć w sceniczny świat, odizolować od codzienności. Inni wbiegają na scenę niemal z ulicy. Nie sposób ustalić, która metoda jest lepsza.

Na widowni przeważali uczniowie, czuło się niewidoczną rękę organizacji widowni (jakieś wycieczki, jakieś panie polonistki). Panowało rozbawienie. Niedobrze, pomyślałem, aktorom będzie nielatwo chwycić to towarzystwo. I rzeczywiście, początek zapowiadał ruinę spektaklu. Szybko jednak, kiedy spod koca na scenicznej ławce wyłonił się Sasza (Janusz Michałowski) i związał się pełen dramatyzmu dialog

z Pchelką (Piotr Fronczewski), a potem z Anitą (Maria Ciunelis), zapadła cisza. A kiedy Policjant (Henryk Talar) niby chór w tragedii greckiej snuł swoje przestrogi pod adresem widowni, nikomu już nie było do śmiechu.

Sztuka Głowackiego, jeszcze kilka lat temu nieco egzotyczna, o bezdomnych z Nowego Jorku, okazywała się bliższa naszej rzeczywistości. Dramaty życiowych rozbitków tchnęły tragicznym autentyzmem. Tylko w trzecim rzędzie jakaś niezadowolona dama sykała, że to pewnie żydowska prowokacja, że co to znaczy, aby takie sztuki wystawiać, z Polaków się prześmiewać i wartości naruszać. Po przedstawieniu napomknąłem o tym Izabelli Cywińskiej, która „Antygona” wyreżyserowała. – I co? – zapytała. – Wyszła ta pani? – Nie – odpowiedziałem. – Wytrwała dzielnie do

końca. – Dziwne, na ogół wychodzą, czasem na głos pomstują.

Zadowolony, że sztuka nadal wywołuje silne emocje, rzuciłem się do gratulacji. Henrykowi Talarowi nawet nie zdążyłem powiedzieć, jakim groźnym był strażnikiem nie tyle prawa, ile okrutnej niechęci do obcych (w przelocie tylko krzyknął, że dyrektorzy prowincjonalnych teatrów nie mają czasu na pogawędkę). Piotr Fronczewski jeszcze „nie wrócił” ze świata scenicznego i tylko coś odbąknął. A Janusz Michałowski nie mógł się nachwalić publiczności, zrazu zdziwiony, że była akurat tego wieczoru dość „trudna”. – Coś mi się wydawało, kiedy leżałem pod kocem, że byli zbyt ruchliwi – dodał. – Ale potem słuchali pięknie.

Tak się zdarza tylko w prawdziwym teatrze. Niezależnie od tego, który raz z rzędu grana jest sztuka. Za każdym razem przecież pozostaje to samo wyzwanie: okiełznać publiczność i uczynić „jedną głową”. No, prawie jedną.

TOMASZ MIŁKOWSKI